

Kronika

tygodniowa

Ósmy raz od chwili wybuchu wojny światowej przychodzi kronikarzowi stanąć przed P. T. Czytelnikami z życzeniami „Wesołego Alleluja”.

Rok temu, zabierając się do spełnienia swego obowiązku, oświadczył, że jest w kłopotcie, czego ma życzyć, poprzednie bowiem życzenia przeważnie się nie spełniły, podlegał się jednak nadzieją, iż skończy się siedm lat wojennych, t. j. chudych, kolej zatem przychodzi na tłuste. Ale pokazało się w dalszym ciągu, że i tym razem się zawiodł, ósmy rok należy bowiem również do chudych, oczywiście nie dla wszystkich, gdyż jest między nami bardzo wielu takich, którzy chwala sobie lata wojenne i twierdzą zupełnie słusznie, że dopiero one postawiły ich na nogi. To są jednak wyjątki. Ogół bynajmniej nie cieszy się z dotychczasowych zmian, spowodowanych wojną, i w żaden sposób nie może się dopatrzeć jej dobroczynnych następstw, które miały uszczęśliwić ludzkość. A byłby już najwyższy czas, aby pozwolono nam odetchnąć swobodniej, bodajby tylko tak, jak to było przed wojną.

W roku 1919 amerykański dyktator tywnościowy Hoover, zwiedzając Europę, zapowiadał, że rok 1920 będzie jeszcze ciężki, że nie można się spodziewać, aby i rok 1921 wybitnie się poprawił, o 1922 nie jednakoż nie wspominał, wszyscy zatem byli święcie przekonani, że bieda nasza weźmie w łeb i zaciśniemy tycie powojenne, wśród ogólnego pokoju i dobrobytu. Pokazało się, że nadzieje te były bardzo śludne, rok bowiem po roku, zamiast, aby się sytuacja poprawiała, staje się ona coraz bardziej opłakana.

W takich warunkach trudno bardzo zabrać się do złożenia życzeń „Wesołego Alleluja”, zwłaszcza, gdy się samemu nie wierzy, że się one mogą spełnić, co najwyżej można je ograniczyć do wyrażenia nadziei, że doczekamy się może chwili polepszenia się stosunków, kiedy to jednak nastąpi, to tajemnica, której nie rozjaśni nawet konferencja genueńska zwłaszcza właśnie w celu odbudowy zniszczonych wojną krajów, mająca zatem na celu ułatwienie nam egzystencji. Na ową konferencję wybierali się też i kronikarz, aby zasięgnąć tam ostatecznej decyzji, ostatecznie zdecydował się pozostać na miejscu, gdy się pokazało, że Ameryka, bez której udziału całe przedsięwzięcie musi być bezcelowe, nie myśli kłopotać się tem, co się dzieje w Europie, a ci, którzy mają się zająć sprawą odbudowy, radziby ją przeprowadzić w ten sposób, aby sami mogli na tem zrobić jak najlepszy interes, tak materalny, jak i moralny. Z przedstawionych portraktacji, przeprowadzonych na rozmaitych zjazdach, wynika zupełnie jasno, że kraje, zniszczone wojną i potrzebujące odbudowy, dostałyby się poprostu w najzupełniejszą zależność od międzynarodowego kapitału, który, sam nie nie ryzykując, zrobiłby na nich prawdziwie kokosowe interesy, dyktował im swą wolę i uzależnił je od swych grymasów. Mili paskarze i lichwiarze drą skórę, gdzie się da, w zupełnie podobny sposób chęliby sobie postąpić wielcy, nigdy nienasycony, pragnący ciągle nowych zysków.

Jeśli z tego punktu widzenia patrzymy na odbyć się mającą konferencję w Genai, zupełnie nam wszystko jedno, czy się ona odbędzie, czy nie, a jeśli dojdzie do skutku, jakie będą jej wyniki, tak bowiem, czy owak, nie dobrego ona nam nie wróży i, kto wie, czy nie byłoby lepiej dla nas, gdyby przy sprawie odbudowy kłazano nam liczyć tylko na swe własne siły, a nie oglądać się na obcą pomoc. Do konferencji przygotowywano się, jak się pokazuje, bardzo energicznie, a świadczy o tem choćby fakt, że archiwum angielskie, zawierające materiały do obrad, pomieszczono w dwadzieścia workach i wysłano na miejsce, po drodze jednak znalazł się ktoś ciekawy, chcący przedtem jeszcze wglądać w te akta, zginęły zatem, co może być powodem, iż konferencja do skutku nie dojdzie. Minister Poincaré nie zdecydował się dotąd na wzięcie udziału w obradach konferencji, wobec czego pozostałaby ona w danym wypadku jedynie aktem ogłoszenia swojej woli przez Anglię, która myśli przedewszystkiem o swych interesach, a nie o spleśnieniu komuś z pomocą. Pojawiają się ponadto głosy, że wobec ewentualnej umowy gospodarczej, mającej być zawartą między Anglią a Ameryką, konferencja w Genai będzie bezprzedmiotowa.

Mał zatem kronikarz rację, że się do Genai nie wybrał, czasu i pieniędzy w ten sposób niepotrzebnie nie stracił, nie doznał rozczarowań, co zaś najważniejsze, umożliwiło mu to osobiste złożenie życzeń Czy-

telnikom, w czem miała go w danym wypadku zastąpić Weronika, mająca w tym roku więcej czasu, niż po inne lata, gdy absorbowały ją zupełnie przedświąteczne zajęcia gospodarskie, bez których jak się obecnie pokazuje, można nie tylko żyć, ale nawet być zbawionym. Jeszcze lat temu dziesięć wstecz nie wyobrażaliśmy sobie świąt Wielkanocnych bez szynki, kiełbasy, jelek, rozmaitego rodzaju balabuchów z odpowiednią ilością i jakością rozmaitych płynów, oczywiście nie z wodą wspólnego nie mających, dziś przekonujemy się, że się bez tego obejść, a nawet zdrowie wiele na tem zyskuje. Można zatem śmiało powiedzieć, że nastrój świąteczny, tak dawniej podnosił, dziś równa się zero, łatwo też sobie wytłómaczyć, jak trudno kronikarzowi wpaść na odpowiedni ton, aby raz przecie zacząć i skłonić życzenia, do których zabiera się od początku kroniki, a jakoś nie może się zdobyć na krok stanowczy.

Ponieważ obecnie panują w świecie prądy wywrotowe, dążące do zmiany obecnych stosunków w najrozmaitszy sposób, nie gwarantując oczywiście, czy na lepsze, kronikarz pójdzie w tym roku za ogólnym duchem i Życzenia swoje skonstruuje mniej więcej wywrotowo, t. j. takim, jak sam, golcom tyocy, aby znaleźli się w tem położeniu, oczywiście materalnem, nie moralnem, jak ci którym stała zardoszczą, widząc jak im wszystko idzie niezem z płatka, tym drugim zaś, aby jak najrychlej znaleźli się w roli pierwszych, t. j. powrócili do swych przedwojennych czasów, kiedy to im ani się nie śniło o tem, że dzięki ludzkiej krzywdzie, zostaną milionerami, a nawet miliardarami, bo obecnie i o takich a nas nie trudno. Wówczas powiedzielibyśmy, że łatwiej na świecie sprawiedliwość, narazie musimy dojść do przekonania, że i ona skutkiem wojny uciepiała i zasługuje w zupełności na to, aby ją umieszcili w jakimś przytułku dla nieuleczalnych.

Wyobrażamy sobie, jaki przewrót na świecie wywołałoby spełnienie się tegorocznych życzeń świątecznych. Ci, którzy ósmy z rzędu rok na biedę narzekają, odeschnęliby — raz przecie, gorzkie żale natomiast zaczęliby śpiewać dotychczasowi ich ciemiężcy, nie znający obecnie litości ani pardonu.

Nastąpiłaby wówczas taka ogólna zmiana frontu, jak owa, którą spodziewamy się ujrzeć podczas wielkich narodowych igrzysk olimpijskich, mających się odbyć na Podgórzu podczas Błakawki, gdzie jednym z głównych punktów atrakcyjnych będzie wspinięcie się po singlu, na którego szczyście umieszcili komitet zupełnie autentyczną szynkę, parę trzewików i inne podobne cenne nagrody, przeznaczone dla zwycięzców. Na posiedzeniu komitetu zarządzającego zastanawiano się nad tem głęboko, czy ten punkt programu, ma wogóle rację bytu i czy znalazł się odpowiednia liczba ubiegających się o podobne nagrody, zwłaszcza jeśli się zwazy, że obecnie zniknął z horyzontu cech tak zwanych andrasów, którzy na rozmaitych rodzajach paska dorobili się pokątnego majątku i dziś odgrywają rolę gentlemanów, noszą modne ubrania, na wódeczkę chodzą do Maurizja, oblady jadają w pierwszorzędnym restauracjach. Ostatecznie zdecydowano się, dla uświęcenia tradycji punkt tego programu pozostawić i zrobiono dobrze, jak się bowiem dowiadujemy z dobrze poinformowanych źródeł do zawodów mają się zamiar zgłosić rozmaici przedstawiciele umysłowo pracującej inteligencji, niemający w inny sposób nadziei zdobycia podobnie cennych przedmiotów, należących w obecnych warunkach w ich sferze do marzeń, nigdy spełnić się niebędących. Udział swój zgłosiło już wielu profesorów uniwersytetu, urzędników publicznych i prywatnych (nie zajmujących się paskiem), nie mówiąc już o literatach i dziennikarzach, którzy mają się stawić in gremio. Na przeszkodzie bardzo wielu z nich staje jednak ta przykra okoliczność, że dolne części ich garderoby, przedewszystkiem w okolicy t. zw. (f. c. y. z), przedstawiają tak opłakany stan, iż zmusza ich to do stałego używania dingish surdutów, zakrywających przed okiem ludzkim te niepospolite braki, które jednak, podczas wspinania się na ślip i przy panującym śnie na Krzemionkach wletrze, masłabyby ujawnić się oczom zebranej publiczności i obrazić niejako uczucie wrodzonej wstydlivosti. Z tego powodu i kronikarz zrezygnował z zamiaru spróbowania swej zręczności, choć bardzo nęci go nadzieja zdobycia w ten sposób, jeśli nie szynki, to bodaj pary trzewików, których brak bardzo mu się przykro daje zwłaszcza w porze deszczowej odczuwać.

I te właśnie garderobowe defekty są przyczyną, że coraz rzadziej widzi się ludzi ubranych w tak dawniej popularne marynarki, coraz częściej zaś w długie angielskie surduty wytarte oczywiście należyście na łokciach i plecach, lecz zakrywające szczerze tak z przodu jak i z tyłu wszystko to, co dla ludzkiego oka powinno być niedostępnem. Ten aroczysty strój, jako dodatek do nów szuszczonej na kwintę i bardzo rzadkich min, będących następstwem coraz to po-

myślniejszych konjunktur, nadają rodzajowi męskiemu wygląd karawanlarzy. W zupełnym przeciwieństwie znalazła się natomiast pleć nadobna, którą co raz to krótsze spódniczki czynią podobną do baletnic, co, jeśli dany osobnik jest jeszcze młody i przystojny, wygląda jakoś znośnie, w późniejszym natomiast wieku robi bardzo przykre wrażenie, przypominając postać, jakie się niegdyś widziało tylko w pismach humorystycznych. Komleczale wprost wygląda małżeńską parą, on wyanglexowany, ona podkaszana, jak gdyby wybierała się do kąpieli.

Czaszylimy się, że dzięki panu ministrowi skarbu, który na pewien czas zawiesił cło od najniezbędniejszych artykułów, służących do ubrania, będzie można badać na święta zaopatrzyć się w jakiś szczegół garderoby, pokazało się jednak, że owo znizenie cła o dziesięćdziesiąt procent nie wyszło bynajmniej na korzyść kupujących, lecz wyłącznie sprzedawców, którzy powiedzieli sobie, że w ten sposób będzie można odbić sobie z nawiązką zapłaconą daninę i cenę nie tylko nie zniżyli, lecz w niektórych wypadkach nawet ją podnieśli, tłómacząc sobie i całemu światu, że działają w ten sposób na korzyść zwłaszcza urzędniczego świata, ten bowiem będzie mieć powód do narzekania na drożyznę i doczeka się nowej podwyżki płac. Władze, zajmujące się walką z lichwą, gdyby tylko chciały, znalazłyby bardzo piękne pole do popisu i zyskania sobie wdzięczności tych biedaków, którzy noszą wprawdzie w swych portfelach nieraz i dziesiątki tysięcy, a mimo to odmawiają sobie muszą rzeczy najniezbędniejszych, nie mówiąc już o jakich rozrywkach lub przyjemnościach, dostępnych dziś wyłącznie dla paskarzy i lichwiarzy. Pobiera wprawdzie najniżerniejszy urzędniczy miesięcznie tyle, ile dawniej otrzymywał na rok prezydent ministrów, ale co ma z tego, jeśli codziennie na najskromniejsze utrzymanie domu trzeba wypuścić z kieszeni „lisa”, a bardzo często „tygrysa”. W takich warunkach w monasteryi kleszeniowej już w trzecim tygodniu każdego miesiąca okazują się pustki, czwarty zaś jest absolutnie niepotrzebny i powinien być z urzędu zniesiony.

Głó szczęście, że tegoroczne Święta Wielkanocne przypadają na sam środek miesiąca, że zatem przygotowania do nich rozpocząć się musiały zaraz po pierwszym, kiedy kleszeń nie była jeszcze w stanie zbyt opłakanym. Ten i ów poświęcił zatem dla tradycji kilkanaście tysięcy, jakie przykrego doznał jednak rozczarowania, gdy się w rezultacie przekonał, że za tę kwotę nie ma ani połowy tego, co go dawniej kosztowało kilkanaście koron. O kupieniu na przykład całej szynki prześlętny śmiertelnik nie paskający ani myśleć nawet nie może, byłby to bowiem wydatek, wyprzedzający najzupełniej z równowagi jego budżet domowy. To samo powiedzić się musi o babkach, piaskach, mazurkach i podobnych im słodkich apetytach, stanowiących niegdyś chlubą każdej gospodyni domu, wychodzącej z założenia, że święta bez nich nie byłyby świętami. Lata wojenne przekonały jednak, że można się obejść bez nich. Tegoroczne Święta Wielkanocne, ósme z rzędu od chwili wybuchu wojny światowej, nie będą zatem zbyt wesołe dla bardzo wielu, którym nie pozostanie nic innego, jak krapieć się wspomnieniami lat dawniejszych i nadzieją, że przecie może doczekamy się jeszcze powrotu dawnych czasów, kiedy to po czterdziestodniowej pokucie wielkopostnej przez dwa lub trzy dni było na porządku dziennym obtarstwo i pijństwo, nie szkodzące tyle duszy, ile słabemu ciału, które potem trzeba było przez dłuższy czas doprowadzać do stanu normalnego, powtarzając sobie z pozą: „Silachotnie zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz...”. Ta naprawa zdrowia była przed wojną niezbyt miłą, ale też nie kosztowała wiele, gdy natomiast dziś, przeprowadzona w najskromniejszy nawet sposób, pociągnęłaby za sobą wydatki, idące w dziesiątki tysięcy, powinno się zatem być zadowolonym, że się na nie narażać nie potrzeba, czyli, że „ulema ziego, aby na dobre nie wyszło”. Chyba aptekarze mogą narzekać, nie ulega jednak kwestyi, że ten „zawód” odbija sobie na czem innem.

Przejdą zatem święta dla większości prawie niepostrzeżenie, szczęśliwym, kto ma w rodzinie lub między bliższymi znajomymi paskarza lub lichwiarza, a choćby tylko pracującego fizycznie osobnika, ten bowiem znajdzie sposobność do przypomnienia sobie przedwojennych czasów i uraduje nie tylko wroć i wach, ale też i inne smysły, przedewszystkiem zaś smak.

Gdyby bodaj pogoda z Wielkanoc dopisała, mogłaby użyć chociaż przechadzki, w niedzielę po mieście, w poniedziałek na Rmams, we wtorek zaś na Błakawki, a może przecie spotkałoby się kogoś z znajomych, który wróciłby się z propozycją, aby go odwiedzić i podzielić się z nim darami Bożymi, które nagromadził na chwałę Bogu i na pożytek ludzkości.